

ŁOMOT



nieregularnik

numer 3, październik 1999

Interfolk

Śladem publikacji

**Poetycki pop
po kotobrzescu**

Okiem Adasia

spis treści

Wstępniak	
Dobre, lepsze, najlepsze	
Ta sama, a jednak inna	
Poetycki pop po kołobrzescu	
Śladem publikacji	
Hipnoza, to siła zawarta w człowieku	
Gdzie się podziały moje wakacje?	
Gofiarski dzień	
Dokąd na wakacje	
Jak belfrowie i uczniowie spędzili wakacje '99	
Interfolk	
Sztuka dla każdego	
5 Przystanek Woodstock	
Okiem Adasia, czyli duże przymrużenie	
... dokończenia...	
Fish	
Jeżozwierzowe drzewo	
Blur	
Closterkeller	
Strefa szalonych muminków.	
Ars poetica.	
	Łomot
	Zespół Szkół im. Henryka Sienkiewicza
	ul. 1-go Maja 78-100 Kołobrzeg
	tel.352 32 64 fax. 352 36 42
	e-mail:
	zskol@zs-sienkiewicz.kolobrzeg.ids.pl.
	www.zs-sienkiewicz.kolobrzeg.ids.pl.
	redaktor naczelny
	Magda Niedbała
	grafika
	Magda Niedbała
	Łukasz Jeżyk
	fotoreporter
	Piotr Kopka
	rysunek
	Mariusz Rosiński
	zespół redakcyjny
	Iza Czarnota, Katarzyna Domańska,
	Robert Dziemba, Marcin Jeżyk,
	Małgorzata Lewicz, Piotr Kopka,
	Joanna Korowajczyk, Małgorzata
	Marek, Magda Niedbała, Matylda
	Nocny, Adam Szyszka
	sponsor
	Wydawnictwo Kamera
	78 - 100 Kołobrzeg, ul. Dubois 23
	tel./fax. (0 94) 354 22 36, 354 62 05

Redakcja zastrzega sobie prawa do skracania artykułów; wszelkie prawa do zamieszczonych materiałów zastrzeżone





*Z okazji święta Edukacji Narodowej
całemu personelowi placówki oświatowej
im. Henryka Sienkiewicza
społeczność uczniowska wyżej wymienionej instytucji
pragnie złożyć życzenia
dalszych sukcesów w praktyce dydaktycznej,
miłych spokojnych, pokornych, „upupionych” pupili,
którzy dosłownie przyjmują wtłaczane im informacje.*

Dobre, lepsze i najlepsze

czyli jak się ma kino Wybrzeże po przejęciu przez firmę „Best“.

Wystarczy remont wnętrz, odpowiednie dekoracje, dolby surround... i oczywiście odpowiednia promocja z naciskiem na bardzo krótki okres oczekiwania na nowości filmowe, aby zapełnić rzędy siedzeń w kołobrzesckim kinie. Jak widać opłaciło się i inwestorom, i klientom. Filmy trafiają tu w kilka dni po krajowej premierze, a w przypadku niektórych nawet w dniu premiery. Wprawdzie za jakość i szybkość trzeba odpowiednio zapłacić, jednak kino nie narzeka na brak widzów. Filmy często emitowane są po kilka, kilkanaście tygodni, gdyż cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem. Tu również zasługę należy przypisać kierownictwu kina. W swoim repertuarze, zawsze może się

ono pochwalić pozycjami kina światowego. Nie chodzi tu jedynie o typowe „masówki“ w amerykańskim stylu, lecz również o dzieła ambitnych twórców europejskich (dla niektórych może za ambitnych, ale to już zupełnie inna historia). Natomiast na terenie Kołobrzegu spotkać można porozstawiane wyplakatowane stele zawierające program kina z wyprzedzeniem na co najmniej tydzień.

Choć „Wybrzeże“ to niepozorne, skromnych rozmiarów i praktycznie bezkonkurencyjne kino, co może się zdawać minusem ze względu na ceny biletów, warto je odwiedzić. Nic nie zastąpi sali pełnej ludzi, ogromnego białego ekranu, momentu oczekiwania, gdy gasną światła... i sąsiada wchłaniającego popcorn.

Kaśka Domańska

Ta sama

Każda szkoła dba o swój wizerunek, stara się pozytywnie wyróżnić spośród innych tego typu w mieście. Nasza szkoła ma szczególny powód, by zadbać o swoją renomę, ponieważ od niedawna nosi imię Henryka Sienkiewicza, a to zobowiązuje.

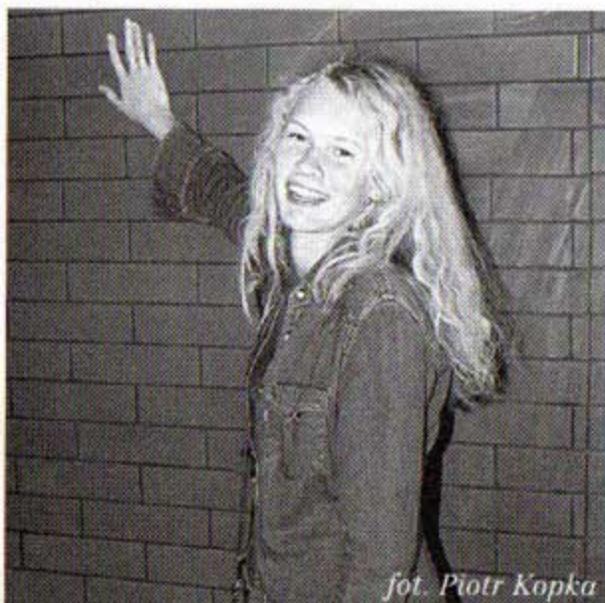
Już 1 września zachodząc w szkolne mury zauważyłam dużą zmianę. Cały hol na pierwszym piętrze wyłożony jest gustowna cegielką w kolorze burgunda i nowymi kafelkami. Sztab fachowców czuwa nad przebiegiem prac, aby „Sienkiewicz“ wyglądał jak nowy, bo wiadomo: „jak cię widzą, tak cię piszą“. Dyrektor Gromek stara się jak może, aby uczniom i nauczycielom dobrze się pracowało w kolorowych salach.

O tym, że nasz dyrektor dba o prestiż szkoły mogliśmy się przekonać słuchając wywiadu dla Radia Kołobrzeg, którego udzielał w związku z rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Pan dyrektor zadbał

o wizualną stronę szkoły, ale mam nadzieję, że te udane przeobrażenia zewnętrzne będą miały wpływ na szkolną atmosferę, a to jak się nam będzie uczyło w odświeżonych klasach zależeć będzie tylko od nas.

Iza Czarnota

a jednak... inna!



fot. Piotr Kopka

Poetycki pop

po kołobrzescu

4 września w kawiarni "Adabar" odbył się koncert grupy muzycznej MDK. Z okazji postanowili skorzystać przedstawiciele naszego magazynu przeprowadzając wywiad z jej liderem, Danielem Pawlakiem.

Łomot *Na początku gratulacje z okazji niezwykle udanego występu i pytanie, czy sam jesteś z niego zadowolony?*

Daniel Pawlak To był jeden z naszych pierwszych występów bez wokalistki, tak więc była to zarazem próba aranżacji większości utworów na nowo, próba sprawdzenia się w nowej sytuacji. Trudno jest mi oceniać siebie samego, bo mogłoby to wypaść nieobiektywnie, ale mam nadzieję, że luka po Karolinie została wypełniona.

Ł *Wiele osób nurtuje kwestia nazwy Twojej grupy, czy mógłbyś wyjaśnić skąd się ona wzięła?*

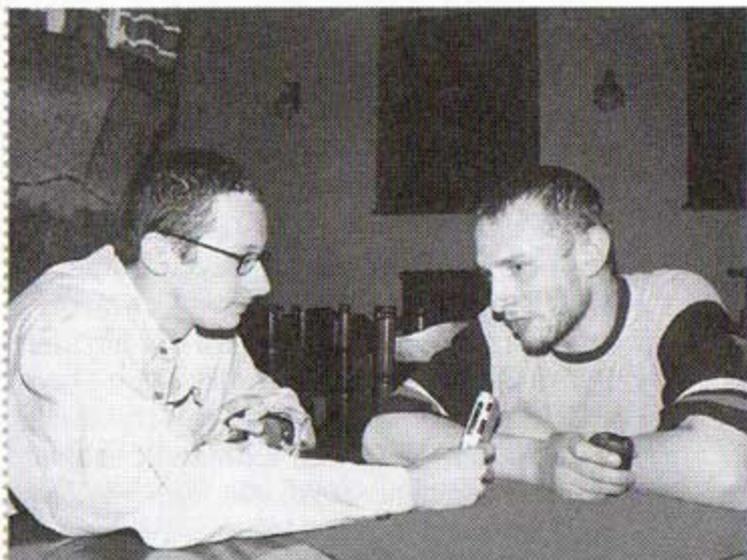
D.P. Zwykle staraliśmy się tego nie zdradzać, ale ponieważ to taki ekskluzywny wywiad, to mogę powiedzieć, że sprawa jest bardzo prozaiczna. Na samym początku graliśmy we trójkę, więc ten skrót to po prostu Marian, Daniel i Karolina.

Ł *Jak widzisz rynek i środowisko muzyczne w Kołobrzegu?*

D.P. Podstawowym problemem w naszym mieście jest to, że nie ma tu jakiegoś miejsca, które wiązałoby różne tego typu inicjatywy. Trudno jest znaleźć jedną, konkretną osobę, która pomagałaby zespołom w kwestiach typu próba. Nam jest o tyle łatwiej, że w naszym składzie jest Marian Lewicki, instruktor MOK-u, więc pewne sprawy jest nam prościej załatwić w zamian np. za zagranie paru koncertów. Jest u nas parę grup wartych promocji, może wkrótce usłyszemy o nich coś więcej.

Ł *Jak w MDK wygląda podział obowiązków w sferze lider i reszta zespołu?*

D.P. Można to nazwać demokracją kontrolowaną. Najczęściej wygląda to w ten sposób, że piszę piosenkę, rozdaję wszystkim kartki z tekstem, rozpisuję akordy i przedstawiam ogólny zarys utworu, jaki powstał u mnie w głowie. Oczywiście



każdy z pozostałych muzyków wie, jak to zagrać najlepiej, bo w końcu ja nie jestem ekspertem od perkusji czy skrzypiec.

Ł *Piszesz zarówno teksty, jak i muzykę, skąd głównie zdarza Ci się czerpać inspiracje?*

D.P. Trudno na to odpowiedzieć jednym zdaniem, gdyż to bywa naprawdę różnie. Czasem inspiracja przychodzi nagle, po prostu się siada i pisze, a czasem mam jakąś melodię i powoli spisuję myśli. Najczęściej teksty są optymistyczne, bo z natury jestem raczej pogodnym człowiekiem, więc po co się dołować.

Ł *Czy masz jakieś wzory w świecie muzyki i w jakich klimatach czujesz się najlepiej?*

dokończenie na stronie 17.

Śladem Publikacji...

W związku z ukazaniem się w ostatnim numerze artykułu pt.: „Prawda kole w oczy”, do redakcji przyszedł list nieznanego autora. Cieszy nas, że Łomot może ukazać pewne dziedziny naszego życia, które interesują szersze grono młodych ludzi, ale trzeba tutaj sprostować kilka faktów.

Autor listu mówi o sobie, że jest „dzieckiem nauczyciela, ale i uczniem”. To miłe, że nauczyciele mają dzieci, które potem idą w ślady rodziców, a ich dzieci... Historia ta kręci się w kółko. Wiadomo też, że dzieci staną w obronie mamy czy taty. Jednak czy uczniowie „mają wygórowane ambicje co do grona nauczycielskiego”. Minister Edukacji Narodowej twierdzi, że nauczyciel jest partnerem dla ucznia. Być może kiedyś będzie. Podkreślam oczywiście, że nie chodzi tutaj o wszystkich nauczycieli. Nie mam zamiaru obrażać Grona Pedagogicznego. Ale fajnie byłoby rozmawiać z nauczycielem jak z szanowaną osobą. Tak jednak w wielu wypadkach nie jest. Owszem, uczniowie też często są „no fair” wobec swoich profesorów. Wszystko można jednak zmienić.

Mierną pensja nauczyciela jest podstawą do traktowania uczniów jako winnych całej tej sytuacji. Cóż, szkoła to nie mennica. Tu nie robi się pieniędzy. Autor listu żali się, że nauczyciele nie mogą utrzymać rodziny za marną pensję. Dodaje przy tym: „Godzien jest robotnik swojej zapłaty (czy nie prawda autorze!)”. Nie ja ustalam pensje nauczycieli. Ja, jak też wiele innych osób, poszedłem do szkoły, żeby się uczyć. Rodzice powiedzieli mi, że gdy pójdę do dobrej szkoły, to będę miał dobre warunki do nauki. Jeden z psychologów powiedział, że gdyby nie „dobre polskie szkoły”, to by nie miał pracy. Tyle „towaru” przychodzi z tych szkół do niego. W polskich szkołach robi się idiotów, nie ludzi! Co

z tego, że MEN mówi: „Tak”, skoro my powiemy: „Nie”. Jeżeli na szkole zarabiają psychologowie, to niech nauczyciele obliżą się smakiem...

W liście czytamy również: „Autor tekstu „Prawda kole w oczy” (...) groził usunięciem z pracy (nauczycieli - dop. autor), jeżeli się nam, uczniom, nie podporządkują”. Dalej pada pytanie: „Kto dał ci prawo do takich osądów?”. Otóż odpowiadam wszystkim wszem i wobec: demokracja. Wiem, że tego w szkole się nie uczy. Brakuje czasu, z czasem nie ma pieniędzy. Demokracja, to ustrój w którym mogę mówić co chcę, ale nie każdy musi mnie słuchać. W szkołach panuje trochę zepsuty model demokracji, jednak w naszym państwie jest on nadal na czasie. Pojęcie szkolnej demokracji brzmi: mówisz co chcesz, robisz co ci każą.

Pod koniec listu nazwano mnie osobą zbyt szorstką i arogancką. Tak, to prawda. Kiedy nie ma możliwości zmiany złego systemu na lepszy, można tylko przekląć niekulturalnie ku własnej satysfakcji, ale to i tak nic nie da. Ja w swojej szkole dowiedziałem się co to znaczy terror umysłowy, że na jednej lekcji można dostać 4 oceny niedostateczne (to zależało od humoru nauczyciela), a regulamin wisi, bo cóż przecież ma robić? Dyrektor wciska bajki rodzicom, bo ci uwierzą jemu, nie uczniom. Później sam dokonuje zmian personalnych, na które każde wytłumaczenie jest dobre. Co tu dużo mówić. Moja dawna szkoła nadal stosuje „bezbłędne metody” nauczania. I chociaż jej czerwony kolor trochę zbladł (pewnie się zakurzył), to nadal dzielnie pnie ze swymi osiągnięciami do przodu. Tylko, że coraz wolniej... żal mi moich przyjaciół, którzy nadal chodzą do tej szkoły. Ale jak oni sami mówią, pomeczą się trochę i będzie święty spokój.

dokończenie na stronie 17.

Hipnoza

Moja koleżanka poprosiła, żebym napisała coś do gazetki szkolnej: „napisz co chcesz, tylko, żeby było ciekawe, bo wszyscy mają już dość artykułów dotyczących tolerancji/ nietolerancji, szkoły“. Powiedziałam: „Dobrze. Napiszę o czymś innym- o hipnozie“. Doszłam do wniosku, że to dobry i naprawdę interesujący temat, szczególnie dla tych, którzy zbyt poważnie lub zbyt ironicznie podchodzą do zjawiska hipnozy. Wielu moich znajomych uważa hipnozę i wszystko co z nią związane za niewyjaśnione, nadprzyrodzone sprawy z pogranicza czarnej magii, a hipnotyzer to nikt inny, jak czarownicowy mag w szkarłatnej pelerynie.

Za każdym razem staram się wytłumaczyć, że jest zupełnie inaczej, opowiadam jak bardzo hipnoza i autohipnoza mogą być pomocne i interesujące. Wiem co mówię, bo znam oba te zjawiska z autopsji. Jednak, żeby pisać o pozytywnych skutkach czegokolwiek, należy w pierwszej kolejności przybliżyć wszystkim niewtajemniczonym jakiegokolwiek informacje na dany temat. Nie mam zamiaru zmieniać tego artykułu w nudny referat, z drugiej strony chciałabym, żeby chociaż sprawiał wrażenie- powiedzmy- naukowego, postaram ograniczyć się do najważniejszych, ale i najciekawszych informacji, dotyczących zjawisk hipnozy i autohipnozy.

Zjawisko, które współcześnie nazywamy hipnozą, znane było od dawna. Hipnozę w celach leczniczych stosowali już egipscy kapłani, Asyryjczycy, Grecy, mnisi starożytnego Wschodu. Hipnoza stanowiła wówczas zarówno element kultury, jak i sposób leczenia. Zjawisko hipnozy znane było też dawnym Żydom, którzy określali ten stan słowami: „Śpi i nie śpi, czuwa

i nie czuwa, i chociaż odpowiada na pytania, duszą jest nieobecny“.

Przez wieki wiedza o hipnozie stanowiła zbiór pojedynczych obserwacji, podobnie zresztą jak w ogóle wiedza o świecie. Z czasem zjawiska materialne zostały naukowo usystematyzowane, natomiast hipnoza znalazła się poza nauką i do dziś jeszcze nie jest faktem przez wszystkich ostatecznie uznanym. Wielu stawia ją w jednym rzędzie ze zjawiskami parapsychofizycznymi, takimi jak telepatia, spirytyzm, okultyzm itp.

Próby badania zjawiska hipnozy podjęto dość późno, bo dopiero w XVIII wieku. Za prekursora współczesnej hipnozy powszechnie uważany jest austriacki lekarz Franciszek Antoni Mesmer. Dziś jego poglądy wydają się bliższe koncepcjom współczesnych bioenergoterapeutów niż badaczy hipnozy.

W dzisiejszej literaturze możemy wiele dowiedzieć się na temat techniki i metody hipnotyzowania. Doświadczony hipnoterapeuta zna wiele technik indukcji hipnotycznej, jednak w praktyce posługuje się zaledwie kilkoma. Wszystkie sposoby hipnotyzowania sprowadzają się do dwóch kierunków:

- oddziaływania fizycznego na narządy zmysłów
- oddziaływania poprzez sugestie słowne.

Wszystkie znaczące postacie w dziedzinie hipnozy, miały własny sposób na „uśpienie“ pacjenta- i tak Braid hipnotyzował za pomocą błyszczącego przedmiotu umieszczonego przed oczami; Laseque w celu wywołania hipnozy delikatnie uciskał gałki oczu; Celsus stosował tzw. „passy“, polegające na przesuwanie rąk wzdłuż ciała pacjenta. Jednak najczęściej stosuje się jednocześnie sugestie słowne jak i oddziaływanie na receptory narządów zmysłów- głównie wzroku.

dokończenie na stronie 9.

to siła zawarta w człowieku

Gdzie się podziały moje wakacje?

No właśnie... Niby były, ale w powszechnej opinii powinny one wyglądać trochę inaczej. Zwariowany wyjazd z przyjaciółmi w góry, biwak, wygrzewanie się na plaży, leniuchowanie przez cały dzień, a wieczorem jakiś wypad. I nie myślenie o niczym, tylko o tym, że nadeszła już upragniona wolność. Wprawdzie krótka, bo tylko dwumiesięczna, ale jednak...

Moja wizja letniego "wypoczynku" jest nieco inna. Jak zresztą wielu ludzi w tym wieku. Ponieważ nasze miasto jest miejscowością turystyczną, łatwo znaleźć tu pracę na okres wakacji.

Sama nie wiem, dlaczego kolejne dwa miesiące letniego "odpoczynku" przepracowałam. Myśl, że czas ten mogłam spędzić na beczynnym leniuchowaniu, gdy nie zapowiadało się na żaden wyjazd, nie była zbyt zachęcająca. Poza tym, rodzice nie zawsze byli w stanie spełnić każdą moją zachciankę. Pokusa zarobienia własnych pieniędzy była więc bardzo nęcąca.

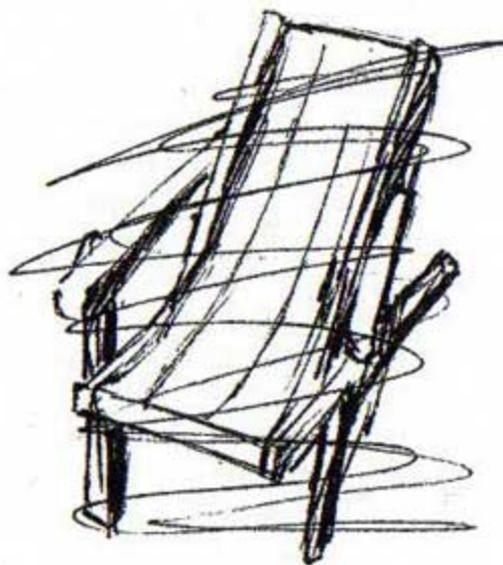
Prawie każdy mój dzień wyglądał podobnie. Wczesnie rano pobudka, szybka kąpiel i śniadanie, a potem biegiem do autobusu i praca do późna wieczór. Nie da się ukryć, że zdarzały się nocne wypadki, ale po kilku zarwanych nocach z rzędu, zmęczenie dawało się we znaki. Mimo wszystko, wspominam ten okres bardzo miło. Początki bywają może trudne..., ale to tylko okres przejściowy. Czas zleciał tak szybko, że nawet nie zauważyłam, kiedy musiałam się pożegnać z trybem życia, do którego już się przyzwyczaiłam, no i oczy-

wicie z szefową (a kiedyś nie wierzyłam, że własnego szefa można polubić!).

Pozostaje jeszcze kwestia wypłaty. Bez wątplenia, gdy już się ją ma w rękę, nie wiadomo, na co najpierw ją przeznaczyć. Dlatego lepiej zaplanować to wcześniej. Dopiero własne, zarobione przeze mnie pieniądze uświadomiły mi, jak łatwo je wydać nie kupując właściwie nic. Nauczyłam się też doceniać pracę rodziców. Wcześniej nie przyszłoby mi to nawet do głowy.

Zastanawiam się, czy w przyszłości, gdy skończę studia (?) i znajdę pracę, czy wtedy nie będę żałować "straconych wakacji", kiedy zamiast szaleć pracowałam. Mam nadzieję, że przynajmniej praca nie będzie dla mnie rzeczą nową, a tymczasem pozostaje mi satysfakcja i miłe wspomnienia.

Brydzia



Gofiarski dzień



Latem pracuje około 60% młodych ludzi. Płace wszędzie inne. Jedni mają pracę po znajomości i są zadowoleni, drudzy szukają jej na własną rękę i często nie mają powodu do uśmiechu. Może być odwrotnie, jak kto uważa. Ja należałam do drugiej grupy.

Zacznę od tego, że w Kołobrzegu zamknięto hufiec pracy chociaż w kwietniu zapewniano, że oferty pracy będą na pewno. Przyszedł czerwiec, fundusze dla hufca wstrzymano, a ja zostałam na lodzie. Zaczęły się poszukiwania: gazeta, telefon, rowerek, każdy odsyła cię z kwitkiem. W końcu znajdujesz pracę i jak mnie przestrzeżono dla otrzymania posady lepiej nie pytać o zarobki. Przysłałam na to. Pracujesz od 9.00 do momentu, kiedy ludzie zapadną się pod ziemię (około 24.00). Pilnujesz swojego stanowiska (w moim przypadku to dwie gofrownice, wiadro, ciasto i dyfuzor, który miał świadczyć o ulepszeniu mechanizacji pracy) kiedy wpada szefowa i zadaje kilka codziennych, prostych pytań- znasz tylko jedną odpowiedź: „gofiarsko”.

Kiedy w rozmowie z tobą nagle stwierdza, że chodzisz jak chłopczyca i brak w tobie kobiecości, albo przyłapie cię w czasie relaksu zaczyna znajdować plamki na stole i podłodze (bardzo źle dla ciebie oczywiście jak zrobisz coś za szybko myjesz lodówki, ściany, sprzęty). Między tym wszystkim znajdzie się ksztywna sarkastycznego uśmiechu na twarzy.

Nie chodzi mi o to by wyliczyć ile razy miałam doła, ile razy ja lub osobnik dominujący był nietaktowny, ile razy obraził lub uszczęśliwił (a było to kiedy dostałam szeleszczący zwitek banknotów na koniec miesiąca) tylko uświadomienie, że zawsze i wszędzie należy pytać się o wysokość zarobku, stanowisko pracy i zakres obowiązków, bo inaczej

zostaniesz wykorzystany, chociaż przyznam, że to dobra lekcja.

P.S. Pracodawca jest panem w swoim „ogródeczku”, młodzież musi wykonywać zleczone im obowiązki, bo inaczej zostaną „usunięci”. Pojawia się problem, młodociany pracownik nie ma możliwości odwołania się, złożenia zażalenia... bo nie ma komu.

Magda Niedbała

Hipnoza to siła zawarta w człowieku

dokończenie ze strony 7.

Na samym początku wspomniałam, że hipnoza jest czymś pozytywnym, pomocnym, jest tak rzeczywiście jeśli, jest prawidłowo stosowana. Wtedy nie niesie ze sobą żadnego niebezpieczeństwa. Należy mieć na uwadze fakt, iż umiejętne i beztrudne prowadzenie hipnozy przez amatorów osoby nieodpowiedzialne, szkodzi samopoczuciu, a często także zdrowiu osoby hipnotyzowanej. Natomiast hipnoza stosowana w leczeniu może być cenną pomocą w zwalczaniu różnych chorób, np. nerwic, uzależnień. Hipnoza i autohipnoza to doskonały sposób na pozbycie się wszystkiego tego, co nas męczy. Jestem pewna, że niejeden z Was (w chwilach stresu) relaksuje się. Kładziecie się wygodnie, zamykacie oczy, próbujecie wytłumaczyć sobie, że wszystko będzie dobrze, uspakajacie się... To nic innego, jak autohipnoza, która szczególnie teraz, kiedy znów zaczęła się szkoła może okazać się bardzo pomocna.

P.S. Jeśli kogokolwiek z Was, zainteresowało choć jedno zdanie zamieszczone w tym artykule, polecam interesującą, wyjaśniającą i tłumaczącą naprawdę wiele książkę Zygmunta Petersona: „Hipnoza- między jawą, a snem”.

Matylda Nocny

Dokąd na wakacje?

Jako że numer ten nosi miano wakacyjnego, chciałabym podzielić się z Wami tym, co z wakacji najcenniejsze - wspomnienia. Zgubimy adres, zapomnimy nazwy szczytów, ale samego faktu bycia tam, wysoko uśmiechniętych twarzy przyjaciół, którym wiatr wyciska łzy, a opuchnięte kostki odmawiają posłuszeństwa - nigdy nie da się wymazać z pamięci. Byłam w górach już po raz piąty. Tym razem zdecydowałam się na Bieszczady. Niektórzy twierdzą, że to najpiękniejsze góry Polski. Rozumiem ich. Zapierające dech w piersiach widoki szerokich pasm górskich gęsto porośniętych drzewami, zarówno liściastymi jak iglastymi, w dolnych partiach za to z łysymi grzbietami.

Dookoła mnóstwo jagód i szemrzących, i co ważne, czystych strumyczków. Małutkie doliny i serpentyny dróg. Ten opis może wydawać się adekwatny do każdego gór, lecz ważniejszym od tego, gdzie się jest zdaje się być fakt z kim się jest. Wystarczy paczka znajomych, aby deszczowe popołudnie zamienić w koncert z pierogami w roli głównej albo wyrwać się do pobliskiego baru i poskakać w drewnianej szopie w rytmach "Nirvany". A następnego dnia znów pobudka o ósmej, przyrządzenie śniadania dla całej ekipy, plecak na grzbiet, kolejne szlaki do przejścia i szczyty do zdobycia. Nadal wahacie się jak spędzić przyszłe wakacje?

Kaśka Domańska

Tylko w góry!



Jak belfrowie i uczniowie spędzili wakacje '99

Takie pytanie zadałam nauczycielom Sienkiewicza. A oto odpowiedzi:

„Pierwsze dwa tygodnie wakacji byłam unieruchomiona ze względu na zwichniętą nogę. Przeleżałam cały ten czas w gipsie, za to potem podziwiałam czeskie góry. Odwiedziłam Pragę oraz Wiedeń. Druga połowa wakacji zeszła na odwiedzinach znajomych na pomorzu i remoncie mieszkania” opowiada pani Jolanta Iwaszko.

Pan Grzegorz Mikłasz podsumował wakacje krótko: „Spędziłem je przyjemnie. Nie udało mi się wyjechać za granicę, ale mimo to bardzo szybko upłynęły”.

Oprócz tygodnia w Kopenhadze i jednodniowego wypadu z dzieckiem do Hansa Parku całe wakacje spędziła w domu pani Pełechaty.

Na pewno wiele atrakcji miał do zaoferowania pani Aurelii z biblioteki Paryż. Wieża Eiffel'a, rejsy Sekwaną, hmm... tylko pozazdrościć.

Natomiast pani Aneta Bagińska zadowolona się rodzimymi krajobrazami: „Wyjechałam do Zakopanego”.

„Nie mam wiele do powiedzenia na temat tegorocznych wakacji” - rzekł pan Jarosław Maj. „Spędziłem je pod namiotem na Kaszubach, ale stopień atrakcyjności tego miejsca mnie zawiódł”.

Z kolei pani Teresa Woźniak spożytkowała wolny czas tak, jak to uczniowie lubią najbardziej: „Po prostu leniuchowałam. Wysłałam dzieci na kolonie, a potem plaża, znajomi, a w sierpniu wyjazd do rodziców. Wakacje upłynęły mi szybko i przyjemnie”. Skąd my to znamy.

Kaśka Domańska

Spędziłam wakacje bardzo przyjemnie. Byłam na biwaku nad jeziorem. Mieszkałam w pięciopokojowym domku z oddalonymi o kilkadziesiąt metrów ustępami.

Justyna

Żeglowałam w Charzykowie, a potem sprzedawałam pocztówki. przede wszystkim jednak wypoczywałam.

Marta

Całe wakacje biegałam do rozgłośni radiowej.

Marcin

Byłam tydzień w Hiszpani, a poza tym objadałam się.

Iza

Pracowałam w pubie jako barman, a potem bawiłem się tu i tam.

Konrad

Tydzień opalałem się w Hiszpanii, trochę czasu pracowałem przy zjeżdżalni na plaży albo dowoziłem towar do sklepu.

Marcin

Spędziłam wakacje w domu nie robiąc nic.

Anka





fot. Piotr Kopka

Interfolk '99

"Interfolk" stał się sztandarową imprezą naszego pięknego grodu. Tak jak w "Misiu" Barei, "narodziła się nowa tradycja". Coroczne zapraszanie gości z całego świata dobrze wpływa na kulturalne stosunki między narodami, szczególnie w dobie integracji Europy. Organizatorzy chyba pomyśleli o przynależności Polski do "starego kontynentu", gdyż zaprosili zespoły z Portugalii, Szwajcarii, Słowacji, Ukrainy, nadkaspjskiej Gruzji, a tylko dwa zespoły z bardziej odległych zakątków globu - Argentyny i Sri Lanki. I przede wszystkim na ich występy czekała publiczność. Może warto by zmienić nazwę na "Eurofolk"? Tym bardziej, że i tak najlepiej zaprezentowali się Polacy.

Tegoroczny "Interfolk" był nudny. Od kilku lat bywam na koncertach w amfiteatrze i zauważyłem wyraźny spadek napięcia wśród widowni. W zeszłym roku Chińczycy oczarowali Kołobrzeg wspaniałym spektaklem (bo naturalny taniec to raczej nie był), a publiczność pod wpływem wirujących spódnic Meksykanek energicznie robiła "falę". Tym razem atmosfera była chłodniejsza. Miasto zyskało co prawda dłuższą niż zwykle

paradę uliczną, ale moim zdaniem nie najlepiej zorganizowaną. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego podczas postoju tańczył jeden zespół, a pozostałe odpoczywały. Wiem, że rytm bębnowi rodem z Sri Lanki zagłuszał portugalski akordeon, ale nie znaczyło to, że cała grupa mogła stać i podziwiać budynek banku. Mimo tego parada była udana. Podobnie występy przed ratuszem. Natomiast nieco senny nastrój zapanował podczas wieczornych koncertów w amfiteatrze, gdyż prezentacje trwały dość długo. O ile zespół z Sri Lanki zaprezentował mrozący krew w żyłach taniec z ogniem, to podczas występu ukraińskiego zajmowałem się głównie obserwowaniem malutkich kotków wychylających przesłane główki spod desek sceny. Ukraińscy goście rozczarowali głównie męską część widowni, wśród której panowała opinia, że dziewczyny są zbyt młode na tak krótkie spódniczki. Moim zdaniem ich pokaz był nienaturalny. Dzieci były zbyt dorosłe. Dziesięcioletni chłopcy z reguły nie są aż tak szarmanccy (ich kontakty z dziewczynkami ograniczają się raczej do szarpania za warkoczyki). Jeszcze mniej podobał mi się występ Portugalczyków, którym chętnie dałbym nagrodę za to, że nie poumierali na scenie. Podobne wrażenie sprawiali niektórzy Szwajcarzy. Można pomyśleć, że Europejczycy są albo za młodzi, albo za starzy. Przez cały wieczór oczekiwano na występ małpy z plakatu. Skoro ze słupów spoglądał uroczy King Kong, to



Piotr Kopka

dlaczego nie miałyby trochę pocieszyć widzów? Zamiast mały na scenę wyszła niesmacznie ubrana, małaletnia gwiazdeczka gruzińskiego disco-polo wypisując jakiś megahit. Coś okropnego. Po koncercie tłum opieszale przemieszczał się w stronę mola na pokaz sztucznych ogni. Pół godziny czekałem na fajerwerki, które i tak nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia. Ale na tym dość krytyki.

Początkowo najbardziej oczarowywali ciemnoskórzy tancerzy z Sri Lanki (te "młynki", salta i tańce z ogniem) oraz ich urocze partnerki. Na tle hipnotyzującego rytmu bębnów Azjaci prezentowali niemalże rytualny obrzęd pierwotnych ludzi. Może u nich taniec decydował o powodzeniu u płci przeciwnej? Argentyniacy przypominali mi trochę Europejczyków. Taniec letni, zimowy, po zbiorach... czyżby echa "Chłopów" Reymonta? Szczególnie, gdy bawiono się boso w wiejskich strojach. Ulubieńcami publiczności byli Gruzini. W ich spektaklu można było dostrzec walkę między chłopcami o kobiety, kokietowanie, zazdrość, zawiść. Podczas pojedynków z szabelki sypały się iskry. Obserwowałem "taniec na palcach" spod samej sceny- na twarzach dzieci widoczne były grymasy bólu. Natomiast najweselszym zespołem (według widowni) byli Szwajcarzy. Przede wszystkim pan grający na butelkach sprawiający wrażenie nietrzeźwego. Chociaż inni członkowie zespołu przypominali raczej drętwych urzędników i ciotki- dewotki, a Portugalczycy koja-

rzyli mi się z niespecjalnie sympatycznymi grabarzami... I w końcu to, co lubię najbardziej. Namiętnie gorąca Europa Wschodnia! Na widok młodych Słowaków panie z widowni piszczały. A oni ze swoimi partnerkami w parach prezentowali taniec dość ognisty. Gdy śliczne dziewczyny wylatywały ponad głowy tancerzy (a równie wysoko podnosiły im się spódnice) wszyscy panowie zgromadzeni w amfiteatrze krzyczeli "Ajajaj!" Tak się zrobiło swojsko... że bardziej podobać się mogli tylko Polacy. Grupa z Lublina długo ćwiczyła swój pokaz, co sprawiło, że wydał się być najlepiej dopracowanym. Wspaniałe stroje, znane melodie i układy partnerów, a wszystko w mistrzowskim wykonaniu. Kto nie był na ich występie w "dniu polskim" - niech żałuje.

Mimo wszystko tegoroczny "Interfolk" był udany, choć mniej atrakcyjny, niż poprzedni. Może po prostu widzowie są bardziej wymagający? Mnie już folkowe występy nie zaskakują tak, jak kiedyś. Nie czuję tego przyjemnego dreszczyku emocji. Ale i tak pójdę w przyszłym roku do amfiteatru. O ile nie zawiodą organizatorzy i sponsorzy. Chociaż nie powinni. W końcu miasto z "Interfolku" słynie...

Piotr Kopka



fot. Piotr Kopka



fot. Piotr Kopka



fol. Piotr Kopka

12-tego i 13-tego sierpnia kołobrzescy miłośnicy teatru mieli kolejną okazję na przeżycie katharsis. Dokładniej mówiąc, pierwszą tego typu, bo nigdy wcześniej w naszym mieście nie gościł teatr stricte uliczny, a w tych właśnie dniach odwiedzili nas aktorzy z teatru Akt ze stolicy. Jako, że ostatnio zawsze firmowałem swoim podpisem jakąś relację teatralną, nie mogłem tego popołudnia przesiedzieć na kanapie. Na placu przed ratuszem zebrała się spora grupka osób, niestety głównie małych kolonistów z wychowawczyniami wprowadzając wszędzie irytujący chaos. Ale może to lepiej? Czwartkowy „Śmietnik” z całą pewnością dzieciakom się spodobał (elementy cyrku, clowni, zabawy z publicznością etc.), ale u dojrzałszej mógł (bo chyba nie musiał) wywołać pewne refleksje. Bowiem czy każdy clown jest śmieszny? Aktorzy pragnęli raczej pokazać nam śmieszność nas wszystkich, korzystając czasem z najprostszych sztuczek (niezwykle poświęcenie naszego fotoreportera, który dzielnie zniósł uderzenie maczugą w głowę). Pomysł w swym minimalizmie genialny, bo czy można ośmieszyć lepiej niż przez ogłupienie?

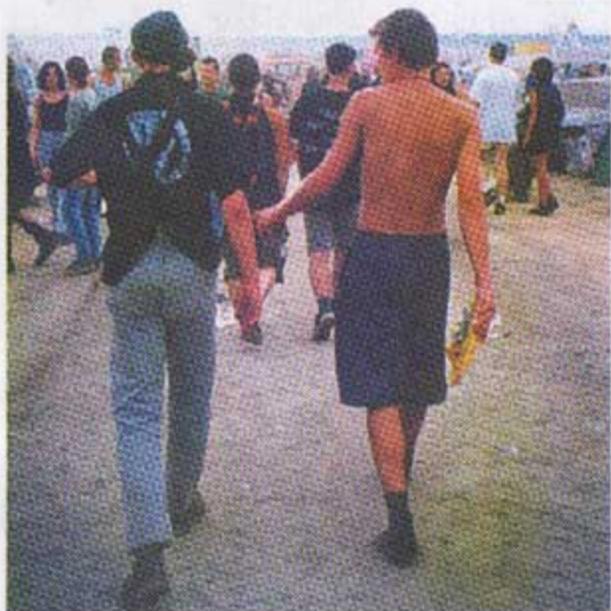


Na pierwszy rzut oka trywialne scenki w rzeczywistości kryły w sobie głębię-manipulacja ze strony innych, brak zrozumienia, a kto wie co jeszcze? Piątkowa „Perperuna” odwoływała się jeszcze dalej, aż do instynktów najbardziej wszystkim bliskich, bo obecnych w nas od zawsze impulsów plemiennych. Motyw kradzieży świętego ognia, niechybna i nieunikniona kara od bogów, strach, dzikie tańce, zaklęcia... To wszystko tylko na pozór bardzo odległe współczesności. Chwila namysłu, refleksji wystarczy, aby każdy odnalazł się w postaci tancerza odprawiającego tajemnicze pogańskie obrzędy. Czyż we wszystkich nas nie tkwi ten człowiek ubrany w skórę z pomalowaną naturalnym barwnikiem twarzą, przerażony otaczającym światem? Zupełnie zamierzona retoryka... Teatr uliczny ma to do siebie, że potrafi dotrzeć do naszej najbardziej ukrytej głębi, nie pozwalając przejść obok obojętnie. I chyba w tym tkwi jego niezwykła, hipnotycznie wciągająca siła... Obyśmy kiedyś potrafili jeszcze raz odkryć nasze impulsy i emocje...

Marcin Jeżyk

Sztuka dla każdego

Przystanek Woodstock



Amerykański festiwal muzyki rockowej, który odbył się 6-8 sierpnia '99 w miasteczku Żary w województwie lubuskim, oficjalnie zwany Woodstock Music and Art Festival, największy festiwal muzyki rock i folk, na który zjechało się 250 tysięcy młodzieży epoki dzieci kwiatów, punków i tym podobnych. Młodzi ludzie, którzy w harmonijnym, radosnym współżyciu pod gołym niebem, nie zważając na wielogodzinne dojazdy, „zasardynkowanie” w pociągach, słuchali takich zespołów jak: „Obstawa Prezydenta”, „Proletariat”, „Acid Drinkers”, „Raz - Dwa - Trzy”, „Easy Riders”, „Solidarity”, „Blenders”, „Jafia Namvel”, „Closterkeller”, „ANKH”, „Skankan”, „Słoma i Bębnułdy”, „Rzeczyno Folk Band”, „Maanam”, „Dżem”, „Voo Voo” oraz pierwszej w historii przystanku Woodstock punkowej grupy „Pidżama Porno”. Którzy zostawili po sobie miliony puszek, ogromne wysypisko śmieci wielkości 1km na 1km, wysokości

1m. Prądu także potrzebowaliśmy niemało. W ciągu jednego dnia zużyliśmy tyle co piętnastotysięczne miasteczko. Straty PKP pokryte przez zysk ze sprzedaży puszek wyniosły 16 tysięcy złotych, a nie jak podały media 8 milionów złotych. Gaża muzyków symbolicznie wynosiła 100 zł, tylko tyle, ile wystarczy na wyżywienie i dojazd.

Pacyfistyczny festiwal, na którym można: rozbić namiot, zawiesić flagę, zajść na ulicę gastronomiczną, zatelefonować, wysłać kartkę, skorzystać z karty kredytowej i kupić koszulki, koraliki, czapki, sukienki, plakaty, plecaki i inne różności. Jest prohibicja, jest i piwo, jest jedzonko za małe pieniądze. Na przykład bigos-3 zł, fasolka po bretońsku-3 zł. Pokojowa wioska kryszny serwowała mały zestaw obiadowy (niestety, nie jestem w stanie określić co to było i z czego było zrobione pomimo tego, że próbowałam), kosztował 2.50 zł. Przystanek Jezus proponował w godzinach 13-15 domowe obiady.

Kolejki czasem na pół godziny stania. Nikt nie stęka, nie jęczy, nikt nie fakuje, nie depcze po piętach. Wszyscy przyjęli ustalone reguły gry, na czele których stoi Jurek Owskiak, któremu podporządkował się tłum... Zmęczeni upałem korzystali z zimnych kąpieeli błotnych, czterdziestoosobowego prysznicza.

Gigantyczna impreza pełna zawirowań, szumu, który dla jednych stał się symbolem szalonej epoki flower-power, dla drugich całkowitym upadkiem moralnym.

Magda Niedbala



Oknem Adasia

Opowieść tę, może nie poetycką, ale opowieść dedykuję mojemu koledze Danielowi Malinowskiemu.

Pan Luk Skajtoker

czyli ostatni zajazd na imperium (to, co tak kontratakowało), historia szlachecko-kosmetyczna z roku panińskiego 3001 w XXXX księgach (nie) wierszem na czterdziestolecie PRL-u.

Z pamiętników Luka S. dzień 11:

Siedzę tu już 17 dzień. Nie wiem gdzie jestem, bo zgubiłem maszynkę do ustalania gdzie jestem. Co gorsza zgubiłem maszynkę do ustalania gdzie jest maszynka do ustalania gdzie jestem. Nawet nie wiem gdzie mam maszynkę do ustalania gdzie jest maszynka do ustalania gdzie mam pozostałe maszynki!!! Chyba nie mam już więcej maszynek...., a zresztą rozejrzę się, może uda mi się znaleźć jakąś wskazówkę jak wrócić na statek...

Dzień 12:

To już 19 dzień jak się błąkam po tej planecie z kupy złomu. O ile dobrze pamiętam to znalazłem się tu przez przypadek. Latałem moim megagwiezdnym YK-41 po galaktyce, a oni leją. To znaczy ze mną leciała Leja (taka wysoka, łysa, mała blondynka, długie proste brązowe włosy i zęby, chyba nawet hrabianka albo księżniczka). No i z nami lecieli „oni”. „Onich” tzn. „ich” wzięliśmy „na stopa”, chcieli żeby podrzucić ich na Ziemię, bo kręcą tam o nich jakiś serial, coś o teczkach, czy aktach, nie wiem, nie słuchałem uważnie. Taki serial z Mulerem i Salli. No to chciałem być uprzejmy i wyrzucić ich jak najbliżej

i się zgubiłem. Oni i tak wysiedli na takiej dużej kolorowej kulce, co nazywali Ziemią, a ja z Leją bez map i maszyny (wiecie jakich) zgubiłem się. Zrobiliśmy się głodni, bo tak zalataliśmy się już trochę tzn. lataliśmy trochę, to postanowiliśmy coś zjeść, a na oku była tylko duża, bardzo duża blaszana planeta. Na szczycie było napisane: „kupa śmieci” czy „Gwiazda śmieci”, chyba jednak „Gwiazda śmierci”, nie pamiętam, bo mi akurat okulary spadły. Ja tam myślałem, że to jakieś centrum handlowe i jak tam wleciałem to dostałem od razu w łeb. Gdy się ocknąłem to stało nade mną kilka białych robotów i jakiś czarny z peleryną. C.D.N.

P.S. Nie znam oryginalnej angielskiej pisowni nazwisk i nie jestem amalwapedom. Jeżeli uraziłem jakiegoś fana „Gwiezdných wojen” to przepraszam.

Adaś Szyszka



czyli duże przymrużenie

Poetycki pop po kołobrzescu

dokończenie ze strony 5.

D.P. Może zabrzmieć to trochę dziwnie, ale żadne konkretne wzory dla mnie nie istnieją. Wynika to chyba z faktu, że sam jeszcze nie wiem, w którą stronę pójść, jest wiele rzeczy, które mnie fascynują. Możliwe, że za jakiś czas będę miał kilka swoich projektów, a MDK będzie tylko jednym z nich. Jeżeli chodzi o aktualne klimaty, to nie lubię nazwy poezja śpiewana, która kojarzy mi się z dinozaurami polskiej sceny. My gramy raczej poetycki pop z domieszką humoru.

? Skąd wziął się pomysł na dość niecodzienne instrumentarium, przecież rzadko można spotkać się z połączeniem gitary akustycznej z basem, ekspresyjną perkusją i skrzypcami?

D.P. To chyba jakoś tak samo wyszło, po prostu nasi muzycy grali na takich instrumentach i tak zostało. Może wkrótce coś się zmieni, chciałbym mieć gitarę akustyczną z metalowymi strunami, bo szczerze mówiąc na nylonowych nie da się zagrać wszystkiego, na co miałbym ochotę.

? Na koniec jeszcze pytanie o Wasze plany płytowe?

D.P. Nie wiem jeszcze jak będzie wyglądała sprawa z wokalistką, czy będziemy szukać nowej, czy przearanżujemy piosenki na wokale tylko męskie. Ciężko mi także powiedzieć coś konkretnego o terminie wydania naszej płyty. Mamy już nagrane kilka piosenek, ale będziemy musieli poprawić w nich brzmienie gitar. Oczywiście szukamy także sponsora, który wyłożyłby pieniądze na prawa autorskie i wytłoczenie płyt.

? W imieniu naszych czytelników życzę dużo szczęścia i dziękuję za rozmowę.

Wywiad z Danielem Pawlakiem
przeprowadził Marcin Jeżyk



Śladem publikacji

dokończenie ze strony 6.

Na sam koniec Ania - domyślny (?) autor listu, próbuje metody szokowej, coś na rodzaj zaskoczenia. „Zastanów się, czego oczekujesz od życia. Przytoczę teraz twoje słowa: „Czas pójść po rozum do głowy”. List ten dotarł na pocztę 22 czerwca tego roku (data stempla pocztowego). Kilka dni wcześniej złożyłem podanie do nowej szkoły. Szkoda, że nie mogłem wyciągnąć morału z tej jakże pouczającej treści. Powiem tylko, że czuję się tam fajnie, a z nauczycielami nie mam żadnych problemów.

Na zakończenie tego artykułu dodam, że strajkują rolnicy, lekarze, pielęgniarki, górnicy, strażacy, nauczyciele (a to ciekawe!). A uczniowie, mimo że rzekomo są partnerami tych ostatnich, nie mogą strajkować. My uczniowie musimy się uczyć!

Robert Dziemba

(autor do końca czerwca 1999 r. był uczniem Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika i jego spostrzeżenia dotyczą powyższej szkoły, nie mają związku z sytuacją w naszym ZS- dop. red.)

Podobno najlepsze są dania z ryb. Podzielał tę opinię, szczególnie, gdy chodzi o Wielką Rybę- artystę ukrywającego się pod pseudonimem Fish, rosnącego Szkota o dziwnie poruszającym głosem, piszącego ostre jak brzytwa teksty. Cztery płyty studyjne Marillion z Fishem znam na pamięć od kilku lat i wciąż do nich wracam. A do dość nierównej twórczości solowej podchodzę z niemal zaślepieniem. Uważam Rybę za jednego z trzech

w cudownie spokojnym, chyba bardzo osobistym, bo poświęconym żonie, utworze "Rites of passage". Płytę wieńczy sześcioczęściowa kompozycja "Plague of ghosts". Niby art-rockowa, a jednak nadzwyczaj nowoczesna. Moim zdaniem "Plaga duchów" to jedna z dwóch wielkich suit rocka progresywnego lat dziewięćdziesiątych, obok "The sky moves sideways" Porcupine Tree. Nic dziwnego, skoro maczał w niej palce Steven Wilson.

Fish Raindogs with zippos

(tworzących dziś) wielkich poetów rocka- obok Petera Hammilla i Petera Gabriela. A Szkot nagrał właśnie swój najlepszy solowy album. No, może równie dobry jak debiut, "Vigil in the wilderness of mirrors". Przyspieszający bicie serca i siłą rzeczy otwierający rany wszystkim niepoprawnym romantykom.

"Raindogs with zippos" otwiera typowy dla Fisha utwór "Tumbledown". Z dostojnymi dźwiękami fortepianu na wstępie i w zakończeniu, ale mniej delikatnym środkiem. Podobnie "tradycyjny" jest "Mission statement". Po nim wybrzmiewa "Incomplete", jeden z najpiękniejszych utworów, jakich było mi dane usłyszeć. Gitara akustyczna, smyczki i gorzki dialog Ryby z Elisabeth Antwi. "Już mnie nie słyszysz, już mnie nie dotykasz, już mnie nie znasz". Utrzymany w szkockim klimacie "Tilted cross" sprawia wrażenie weselszego. Ale Fish nadal nie może wyleczyć się z ironii w tekstach. Nawet u boku żony i córki pozostało w nim coś z błazna zdobiącego okładki wczesnych płyt Marillion. Przekonuje o tym "Faith healer" z repertuaru The Sensational Alex Harvey Band. Na tle ostrego, gitarowego hałasu sympatyczny wielkolud z drwiną w głosie cedzi słowa "pozwól mi położyć na sobie swoje dłonie". Brrr, ciarki przechodzą po plecach. Zupełnie inaczej jest



To jemu Fish zawdzięcza odświeżenie muzyki. Dziwne uczucia wywołuje loop jako tło do śpiewu Ryby. Co nie znaczy, że źle brzmi. Przemieszczenie gitar, subtelnych klawiszy, pokomplikowanych "żywych" i (nielicznych) "syntetycznych" rytmów oraz dźwięków fortepianu jest nie mniej fascynujące niż klasyczna "Misplaced childhood" Marillion! Fish śpiewa, szepce, zawodzi, melorecytuje i prawie kuzyczy- "Czy jesteś teraz szczęśliwy?"- słowa wnikają głęboko w podświadomość wyplukując wszystkie brudy. Przychodzi ukojenie. "Wybaczyć, zapomnieć na zawsze- to znaczy dziś, możemy to uczynić". Szkoda, że niezbyt często ukazują się tak piękne płyty.

Piotr Kopka

Jeżozwierzowe drzewo

Wartościowe dzieła pozostają zazwyczaj nie dostrzeżone przez szersze grono odbiorców. Tak jak muzyka Porcupine Tree, najważniejszej grupy Stevena Wilsona, genialnego kompozytora, gitarzysty, wokalisty, producenta nagrań i niczym Robert Fripp- Schizofrenika XXI Wieku. Od chwili, gdy Piotr Kosiński zaprezentował twórczość Brytyjczyków w nocnej "Trójce pod Księżycem" uważam grupę za najważniejsze objawienie muzyczne lat 90-tych. Steven Wilson łączy w swojej muzyce dźwięki delikatne przypominające dokonania Pink Floyd, King Crimson, Can, psychodelicznych Beatlesów, a nawet twórców muzyki ambient. Lecz są to tylko skojarzenia, wraz z rozwojem grupy muzyka coraz silniej uymyka wszelkim klasyfikacjom. Sam Wilson mówił w wywiadach, że jego celem jest "przywrócenie rockowi progresywnemu dobrego imienia".

Muzyka "Jeżozwierz" to żywioł. Czasem delikatnie kołysze, zachwyca niepokojąco romantycznym pięknem, aby później ogłuszyć rockową ekspresją. Tak jak w osiemnastominutowym utworze "The sky moves sideways (phase one)". Na początku delikatne dźwięki gitary i klawiszowe tło wyczarowane przez Richarda Barbieri (niegdyś muzyka grupy Japan). I poruszający śpiew Wilsona. "Czasami czuję się, jakbym był pięścią- czasem jestem barwą powietrza...". I długa improwizacja. Monotonny, niemal ambientowy rytm, gitarowo-klawiszowe szaleństwo, partia fletu. Zmieniające się niczym w kalejdoskopie nastroje- smutek, lęk, euforia, błogi stan poddania się żywiołowi "rozkołysanego nieba".

Najnowsza płyta "Stupid dream" zawiera muzykę jeszcze bardziej osobliwą. Pozornie zwykle piosenki są równie piękne i maniackalnie rozimprowizowane, mają ten sam oniryczny klimat i trudny do

opisania pierwiastek szaleństwa. Tak jak poruszający do głębi utwór "Don't hate me". Hipnotyzujący monotonnym rytmem i motywem gitary, a w pewnym momencie rozdzierający na strzępy solem saksofonu. Zniewalający subtelnym (i jak najbardziej minorowym) klimatem. I głosem Wilsona leniwie wyśpiewującym: "Nie czuj do mnie nienawiści, nie jestem tak szczególny jak Ty, jestem zmęczony- i tak samotny". Wiem, że nie tylko mnie tak bardzo porusza ta ośmiominutowa niby-piosenka.

Porcupine Tree cechuje nie tylko melancholijny nastrój. Ich poprzednie dzieło, "Signify" zawiera nawet karmazynowo-metalowy czad w postaci utworu tytułowego. Podobnie porywają agresywne utwory z płyty "Up the downstair". Ale najpiękniejsze są te senne piosenki. Jak "The moon touches your shoulder" z "The sky moves sideways". Albo akustyczna wersja "Nine cats" z wydanej tylko w Polsce kasety "Stars die". "Faraon zagrał wesołą melodię i obserwował dziewięć kotów tańczących na księżycu". Pięknie brzmi to na koncertach. Jak niedawno w warszawskiej "Stodole". Zespół zagrał wtedy na bis upragniony przez wszystkich "Radioactive toy". Odśpiewany wraz z publicznością, z gitarową kaletyną. Oczywiście koncert retransmitowała niezawodna "Trójka".

Ktoś potrzebuje leku na ból istnienia lub krwawiące serce? Proszę poobserwować „rozkołysane niebo“ i wsłuchać się w muzykę. Może być poprzedzona, jak utwór „Up the downstair“, głosem Suzanne Barbieri szepczącej „śpij, dopóki nie rozpuszczą się barwy, zostaw sen- by wiecznie już mókł na deszczu...“

Piotr Kopka

Blur - "13"

Dla mnie bez najmniejszej wątpliwości płyta tego roku. Na te wydawnictwo czekałem już ładnych parę lat, wciąż wierząc, że moi ulubieni Brytyjczycy ukażą się w końcu wszystkim jako autentyczni geniusze. Jak widać, cierpliwość najczęściej popłaca... Już rok 1997 przyniósł nam świetną płytę w postaci "Blur", na pewno innej niż wcześniejsze produkcje grupy, chociaż nigdy nie odważyłbym się napisać o nich jak o przedstawicielach britpopu (a w ogóle kto wymyślił to beznadziejne określenie?). Muszę się przynależać, że jedyne co miałem za złe Damonowi Albarnowi, to że dał się wkręcić w idiotyczną wojnę z Gallagherami (których nota bene także lubię...). Całe szczęście, że porażka w bitwie ich nie zniechęciła i dalej podążali własną ścieżką. Po raz kolejny okazało się, że Blur ma niezwykle dar opuszczania tonącego okrętu, niegdyś w ostatniej chwili uciekli z rozsypującej się sceny manchesterskiej, a teraz odcięli się w zasadniczy sposób od produkcji Liama, Noela i im podobnych (tak na marginesie - w tej chwili Oasis próbuje wejść na ten ledwo wydeptany szlak!) Co z tego, że najgłupsi krytycy nadal twierdzą, że to wciąż formacja "intelektualna dla intelektualistów"? Moim zdaniem właśnie to świadczy o wielkości grupy, czy wszyscy muszą grać w stylu "ja kocham ciebie, ty kochasz mnie"? Śmiem twierdzić, że "13" to najlepsza rzecz, jaka przydarzyła się brytyjskiej scenie w całej dekadzie! To album na wskroś nowoczesny, ale pamiętający o korzeniach. Nie trudno odszukać na nim wielu inspiracji (podkreślam - inspiracji, a nie ściągania po innych), chociażby psychodeliczne Pink Floyd czy awangardowy Beck (i nikt się tego nie wstydzi). Producentem płyty jest słynny William Orbit, który nie trafił z brzmieniem Madonny, ale w tym przypadku pokazał co potrafi. Dużym zaskoczeniem dla miłośników wczesnego Blur (ale już nie



tego sprzed dwóch lat) może okazać się ogromna szczerość i osobistość dominująca na "13", czemu zresztą mimo wszystko trudno się dziwić. Damona spotkało bardzo bolesne doświadczenie, opuściła go Justine Frischmann, która zawdzięcza mu właściwie wszystko (choć i tak bardziej pasuje do Bretta Andersona z Suede, więc...). Albarn i gitarzysta Coxon są też dominującymi postaciami w grupie. Pora na kilka konkretów na temat samych kompozycji: album rozpoczyna pozornie prosty, hippisowski "Tender" (po raz pierwszy u Albarna - fraza "my baby"), "Coffee & TV" zagrany w znanym wcześniej stylu z tekstem Coxona o zagubieniu i niezrozumieniu przez otoczenie, poczynając od "1992" to już niemal wyłącznie postmodernistyczne (!!!) poszukiwania połączone z niezwykle odkrywczymi brzmieniami. Jeszcze parę słów o moich największych faworytach: "Battle" - hipnotyzujący głos Damona, który w miarę rozwoju utworu na dobre zadomawia się w głowie i przez parę dni z niej nie wychodzi, "No distance left to run" - prawie akustyczny, z nałożonymi na siebie gitarami Coxona i Jamesa, najbardziej osobisty tekst płyty skierowany bezpośrednio do panny Frischmann(ehh...). Dodatkowym atutem "13" jest to, że z każdym kolejnym przesłuchaniem podoba się coraz bardziej. Nie bójcie się tych 67 minut, bo po zapoznaniu z albumem zrozumiecie, że to za mało. Jedną z bardziej "dołujących" płyt ostatnich lat, a jedyne co ją w najbliższym czasie może pobić to... solowe wydawnictwo Grahama Coxona.

Marcin Jeżyk

Closterkeller - Graphite

I znów mam to szczęście, że mogę się z Wami podzielić moimi odczuciami na temat naprawdę świetnej płyty (może dla odmiany w następnym numerze opiszę jakiś kicz?). A wiecie co w tej płycie jest najslabsze? Że jest za dobra, bo przez to wydaje się być zbyt idealną i jakąś nierealną. I niestety przez swą niemalże perfekcyjność jest także ostatnim takim dziełem, bowiem grupa kilka tygodni temu się rozwiązała. Pora jednak skupić się na tym, z czym zetkniemy się po włożeniu CD do odtwarzacza (przepraszam za dyskryminację zwolenników plastikowych pudełek z taśmą). Pewnym zaskoczeniem, na szczęście pozytywnym, mogą okazać się dość liczne tzw. dogrywki i efekty, pierwsze z genialnych posunięć Anji Orthodox. Poza tym mamy do czynienia z tym co na wcześniejszych wydawnictwach spod znaku Klosterkeller, tylko że w tym przypadku jest tego znacznie więcej i brzmi też dużo lepiej. W dobie poszukiwania nowoczesności za wszelką cenę Anja nie zeszła z drogi utrzymywania niesamowitego klimatu mrocznego gotyku (ach, chciałoby się posiedzieć o północy w ruinach starego zamczyska...). Mniej może mamy utworów szybkich i ostrych, nielicznymi wyjątkami są "Sztuka ambicji", "Rozbijacz symboli" i "Miłość za pieniądze". Nie brakuje za to tradycyjnie charakterystycznego brzmienia klawiszy i gitary basowej (duże brawa!!!), nie odmawiając niczego perkusji. Chyba jednak nikt nie ma wątpliwości, co na tej płycie jest najważniejsze? Oczywiście, że wkład Anji!!! Bowiem to nie tylko efekty, wokale i teksty, ale wytworzenie ogólnego klimatu. Kilka słów o warstwie tekstowej, myślę, że pod tym względem mało kto może się z nimi równać (może Abraxas?). Dziwnym

trafem większość słów Anji bardzo do mnie przemawia i dzięki temu czuję z nimi niezwykłą bliskość. "Ate"- pierwszy przejaw geniuszu (naprawdę muszę się zgodzić z tekstem Anji), "Na krawędzi"- widać może być lepiej niż genialnie (a ja znów podpisuje się pod słowami utworu), po drodze dużo wielkiej muzyki, a wszystko kończy się znakomitym finałem w postaci "Graphite'u" (jeden z lepszych utworów w historii grupy, posłuchaj- na pewno się zdołujesz). Może to co napiszę teraz wyda Wam się reklamą (a nie jestem przecież na etacie w Metal Mind), ale nie wyobrażam sobie, aby nie mieć tej płyty (zwłaszcza jeżeli bliskie są Ci ciemności, ruiny, czarne róże i trudna miłość...).

Marcin Jeżyk



Uwagi z dzienników

- Wywołany do odpowiedzi mówi, że nie będzie odpowiadał bez adwokata.
- Wyrzucił pięciu kolegów za okno, a potem stwierdził, że żaden z nich nie umie latać.
- Na słowo „przestań” odpowiedział: „To pani zaczęła”.
- Przyniósł do szkoły walkmana i słuchał na lekcji fizyki. Kiedy poprosiłam o oddanie, powiedział: „to nie dla dzieci”.
- z karty bibliotecznej wynika, że wypożycza same romansy.
- uderzył kolegę na przerwie. Gdy tamten poskarżył się wychowawcy, poprawił na następnej za donosicielstwo.
- spóźnił się na lekcję 40 minut. Kamila K. po prostu się nie nauczyła.

Z mądrości pulpitowych.

- moi rodzice to fajne chłopaki.
- sprzedam skarpetki przetarte na plecach.
- za autobusem i chłopakiem nie goń, będzie następny.
- największym przyjacielem człowieka jest ściąg.
- pokorny uczeń z dwóch ściąg ściąg.
- lepiej być w kropce niż w martwym punkcie.
- wystrzelać strachy, wróbel.

Humor z zeszytów

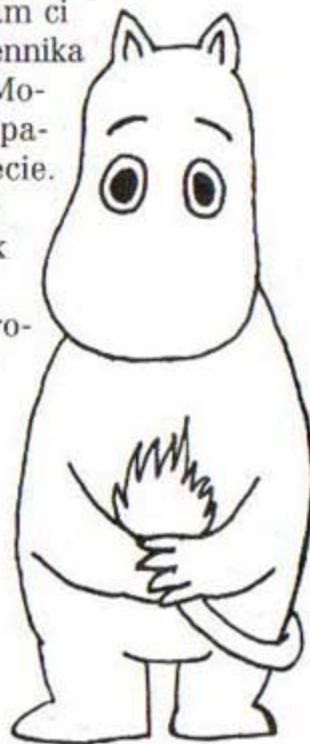
- z lasu wybiegła konno Jagienka i własnoręcznie zobaczyła Zbyszka.
- latarnik był człowiekiem zahartowanym, ale siła poezji dosłownie ścięła go z nóg.
- Skawiński rozwinął paczkę i zobaczył leżącego pana Tadeusza.
- Janko Muzykant żył chęcią grania i marchwią.
- Dzieło Kopernika mówi o tym, że w dzień Ziemia kręci się wokół Słońca, a w nocy dookoła Księżyca.



- za czasów Kopernika Kopernik napisał swoje dzieło „O obrotach w różnych sferach”.
- Kopernik będąc małym chłopcem, już miał stosunki z ciałami niebieskimi.
- Wołodyjowski biegł galopem na czele swojego wojska.
- Niewolnicy rzymscy byli używani do najcięższych prac, niektórzy jako nauczyciele.
- Wojtek jadł zupę, którą matka ze smakiem odjęła sobie od ust.
- Lekarz przed operacją myje ręce i pielęgniarki.
- Dynastia to bogata rodzina w telewizji. W Polsce dynastie żyją przed telewizorami.
- Odzież to przede wszystkim ochrona termiczna, a nie przeszkoda dla ciekawskich.

Powiedzonka nauczycieli do uczniów

- Nie będę wam piąty raz powtarzać. Mówiliśmy o tym już trzy razy.
- Przypomnij mi, że mam ci tę pałę wstawić do dziennika
- Nie jesteście orłami. Można was postawić na parapecie i nie wyfruniecie.
- Nie niszczyć tej czaszki! Kiedyś ty będziesz tak wyglądał!
- Cisza dzieci, bo elektrody latają
- Uczniowie do lektur mają taki stosunek zaczepno- odporny, jak pies do jeża.
- Trzeba dobrze pośmiać się z samego rana, żeby wątrobę sobie pomasować.





Ars

POETICA

„„

Oddaję Ci
Swą intymność
Bo wiem, że Ty sądzisz
W śmierci dzień.
Powiedziałeś: możemy latać, wszyscy
mamy skrzydła
Niektórzy z nas
-nie wiem dlaczego.

Wytłumacz mi
Czym jest życie,
Jeśli nie cieszy
Tak jak chcesz.
Nakarm świat miłością,
Aby me oczy mogły uwierzyć.

Joanna Korowajczyk

„„

Nadszedł ten dzień
Prawda najważniejsza
Staję się
Bez bólu, bez łez
Pozwól odejść-
Teraz tego chcę.
Dłużej nie można
Kryć swego wnętrza-
Wypuść mnie spod swych skrzydeł,
Potem nie zapomnij.

Joanna Korowajczyk

„„

Jak skała
nie uronisz łzy
bo nie chcesz pokazać
swej słabości
nie udzielisz nikomu
uśmiechu
ponieważ boisz się
że ktoś postronny
odkryje głębie twojej duszy
Kim więc jesteś nie obawiaj się
że rozpoznam w tobie
dziecko
ja przecież nie potrafię do serca
przytulić głazu.

Małgorzata Marek

Urojenia

I znowu ty, I znowu ja
I znowu krzyk, płacz i łza...
niedopowiedziane
gesty, oskarżenia i słowa...
potem
przepraszam, to już ostatni raz
i nic się nie powtórzy.
Nie.
Po roku zostały mi po tobie
dane na twe wieczne przepraszam
płatki po uschniętej już róży.
Tak.
To był ostatni raz
i już się nie powtórzy,
jestem wolna od twych
słów, spojrzeń, wyrzutów.
Już nigdy nie dostanę róży?
Nie szkodzi.
Teraz już nie będę kaleczyć dłoni
o kolce twych urojeń.

Małgorzata Marek



piotr kania

**A w tej studni nieszczęść
wisi wiadro pełne smutku.**

Nick Cave